„MĘŻNA NIEWIASTA“.

III.

W MIŁOŚCI.

....mocna jest jako śmierć miłość, twarda jako piekło rzewliwość, pochodnie jej, pochodnie ognia i płomieniów.

Wody mnogie nie mogły ugasić miłości i rzeki nie zatopią jej, choćby człowiek dał wszystką majętność domu swego za miłość, wzgardzi ją jako nic.

Pieśń nad pieśniami Salomona 8, 6. 7.

Chcemy odrodzić Miłość. Chcemy stworzyć ją może zupełnie nową, na jawę przemienić marzenia jasnowidzących wieszczów, a tęsknoty utajone duszy urzeczywistnić życiem. O miłość chcemy walczyć mocną jako śmierć, którejby nie mogły zatopić wody mnogie i mętne jakie wciąż zalewają rzeźwiące i przeczyste jej źródła, a którejby żaden człowiek nie mógł kupić za wszystką majętność domu swego, bo cena jej jedna być tylko może: Miłość, za Miłość.

Ale nim taką miłość wprowadzić w życie zdołamy, musimy przedtem zniszczyć wiele starych wartości i wiele nowych stworzyć. Wyzwolić musimy przedtem całkowicie miłość, z tej niewoli chleba, która zmusza nas do sprzedawania się za pieniędze lub za „dobrą partyę“; z tej słabości ciała co czyni nas rzeczą i własnością bezwolną tego który nas posiadł u dobrowolnej czy kupnej miłości; z tej niemocy ducha co ani patrzeć, ani rozumieć, ani chciec nam nie pozwala. Przedewszystkiem zaś musimy wyzwolić siebie i miłość naszą z tej obłudy i kłamstwa jakimi składamy cześć bóstwom domowym zastępującym dawne lary i penaty, a których miano w dobie obecnej: Pozory.

Odrzucić musimy pozory cnót konwencyonalnych których nie posiadamy, a na miejsce ich wznódz się w szczerość i męztwo, kiedy idzie o obronę miłości naszej, do której mamy prawo tem większe, im wyżej wiedzą i wolą wybijamy się ponad inne żyjące stworzenia, które wszystkie żyją przedewszystkiem przez miłość i dla miłości.

I jeszcze wyzwolić musimy miłość z dwóch wielkich mocy które w ostateczną podały ją pogardę, z rozpusty i z fałszywej mądrości, tych dwóch tak

bardzo od siebie dalekich sił a tak ze sobą sprzysiężonych, aby miłości naszej resztę odebrać praw jakie jej ciężkie warunki współczesnego życia pozostawiły.

O rozpuście pisze się i mówi w ostatnich czasach wiele, zwłaszcza o rozpuście mężczyzn, ponieważ rozumie się pod tem mianem wyłącznie pewną niepowściągliwość w opanowaniu zmysłów, tymczasem jest inna rozpusta, stokroć więcej brudząca, bo zakażająca duchowe źródła miłości, i tą kolają się, zatracając jednocześnie władzę kochania — kobiety, — często nawet pod hasłem wyzwolenia. Mieć stałość i odwagę w jedynej swojej miłości, to jest uczciwość i czystość prawdziwa, to jest wyzwolenie siebie z narzuconych bezprawnie więzów, ale poniewierać swoją tęsknotą miłosną w przelotnych flirtach lub obłudnych przyjaźniach, to jest rozpusta i niewola, gorsza od tej, która dotąd fizycznie tylko kalała i wypaczała miłość.

A fałszywa, słaba mądrość? Ta strąca obłudnie miłość do rzędu słabostek i zwierzęcych instynktów które opanować i o ile możności zniszczyć należy. I stają tu do walki dwie największe w duszy ludzkiej potęgi myślenie i kochanie, i mocują się z sobą, zmagają i słabną w bezużytecznej walce, bo daremny to trud. »Wody mnogie nie mogły ugasić miłości, i rzeki nie zatopią jej“, ze wszystkich walk wyjdzie ona zwycięzko, bo „mocna jest jako śmierć miłość, twarda jako piekło rzewliwość“.

Mądrości prawdziwej i mocnej nauczyć się chcemy aby zmężniała nią wola nasza i abyśmy odważnie i śmiało nauczyły się kochać, i brać jedyną za kochanie zapłatę: Miłość za Miłość. *Marya Turzyma.*

STANISŁAW KELLES KRAUZ.

„GDY LUDZIE DOJRZEJĄ DO MIŁOŚCI“.

Takim tytułem zaopatrzył, wiedeński publicysta, p. Federn swe tłomaczenie książki angielskiego autora p. Carpentera: „Love's Coming of Age“. Edward Carpenter stał się w krótkim czasie z duchownego, bardzo postępowym reformatorem społecznym i zajął się specyalnie badaniem kwestyi stosunku wzajemnego płci.

Zawikłana to sprawa, z całym szeregiem spraw innych ściśle związana, a przebywa w ostatnich czasach szybkie ewolucye, zgodnie z całem przyspieszonem tempem nowoczesnego życia

Dawniej przewrót jakiś w życiu społeczeństwa był kwestyą licznych dziesięcioleci, można nawet powiedzieć stuleci, podczas gdy dziś każdy niemal dzień przynosi nowe prądy, wstrząsające całym organizmem społecznym, przetwarzające do gruntu dusze ludzkie.

Weźmy przewrót taki, jakiego dokonała nprz. Reformacya. Jak długo

kiełkował ten nowy pogląd na świat, jak wiele czasu potrzebował, aby zyskać prawo obywatelstwa i jak długo jeszcze odzywały się potem echa tych gromów, które z ust swych wyrzucili pierwsi reformatorzy!

Dziś na wszystkich polach ludzkiego życia codziennie prawie odbywa się reformacya, grzmią nowe hasła.

Z tych nurtujących ludzkość prądów i zagadnień w obecnej chwili na światło dzienne występuje, po długim pobycie w ciemności i zaniedbaniu, kwestya stosunku kobiety do mężczyzny i odwrotnie, kwestya bardzo skomplikowana, bo zawierająca w sobie kwestye: ruchu kobiecego, małżeństwa, miłości, ekonomicznej zależności kobiety i jej duchowego niewolnictwa. Mesnil w swej książce: „Le mariage libre“ powiada: „W gruncie rzeczy cała kwestya socyalna składa się z dwóch najważniejszych problematów: kwestyi ekonomicznej i problematu miłości w najszerszem znaczeniu tego słowa. Pierwszy z nich był i jest przedmiotem gruntownych dociekań i wyjaśnień, drugi zupełnie zaniedbano, lub zajmowano się nim nader powierzchownie“.

Ze zdaniem tem można się zgodzić z pewnem jednak zastrzeżeniem. Ten drugi problemat, jak to dalej postaramy się wykazać, jest tak ściśle z pierwszym związany, że załatwienie się z nim jest niemożliwe bez rozwiązania zagadnień ekonomicznych. Wszystkie więc dociekania, dotyczące kwestyi ekonomicznych, kwestyi „głodu“, że się tak wyrażę, pośrednio dotyczą też etycznych spraw stosunku płci do siebie, kwestyi „miłości“.

Dziś nadszedł czas bezpośredniego badania problematu drugiego i ludzie, szczerze pragnący odrodzenia ludzkości zrywają z tych ran obyczajowych płaszczyki obłudy i pruderyi, pomimo rozpaczliwych krzyków znachorów społecznych i „obrońców moralności“.

Spojrzmy do kart historyi i postarajmy się pobieżnie chociaż przyjrzeć losom, jakie przechodził mały bożek ze skrzydełkami przez długi ciąg wieków. Zacznijmy od chwili bardzo dla niego ważnej, przełomowej, gdy czekał go pogrom straszny przez rodzący się nowy pogląd na świat, co miał za godło krzyż i zaprzeczenie praw ciała.

Ówczesny świat cywilizowany, w potężnem cesarstwie rzymskiem skupiony, przechodził taki okres tej wiecznej walki duchownej natury ludzkiej z fizyczną, gdy ta ostatnia wziąwsze górę, rozpanoszyła się była niepomiernie. Prąd więc, zaprzeczający praw ciała, przenoszący całą rozkosz życia w sfery nadziemskie, uważający cierpienie za drogę do tych sfer prowadzącą, był zupełnie zrozumiałą i niezbędną reakcyą.

Ale duch ludzki nie był jeszcze na tyle dojrzałym, aby móc utrzymać się w równowadze, aby z walki ciała z duchem wytworzyć piękną harmonię tych dwóch składników. Prąd nowy po długiej walce zwycięża i staje się tyranem! W ponurej atmosferze wieków średnich męczył się nieznośnie człowiek; zatracił dawne, heleńskie poczucie jednolitości swej istoty: potężne prawa natury kazały mu pragnąć wszelkich radości, jakie życie dać może,

popychały go w objęcia miłości, a z drugiej strony rozlegał się ponury głos z wysokich kazalnic, z pustelniczych cel, że te wszystkie pragnienia to brud, grzech, podszepty złego ducha, że to, co w całej naturze jest pięknem, w człowieku staje się poniżającem.

Wskutek tej walki, wytworzył się tak głęboki rozłam w duszy ludzkiej, że nie zdołał go usunąć nawet potężny ruch Odrodzenia. I oto do dnia dzisiejszego szarpie się duch ludzki, chcąc znaleźć swą syntezę, wytworzyć harmonię lepszą niż dawna, bo zbogaconą wiekowem doświadczeniem, wykutą w ogniu cierpień wiekowych. Szarpie się duch ludzki, bo w sieciach jest zaplątany i wyjścia znaleźć nie może. Pragnie szczęścia, miłości — nie może znaleźć już utraconej do czystych źródeł drogi; pije więc z mętnych kałuż i znajduje gorycz trucizny, zamiast orzeźwienia i radości. Nie dość tego! Sieć podwójna krępuje masy ludzkie dzisiaj: warunki ekonomiczne, dziś panujące odmawiają całym masom już nietylko miłości i wyższych rozkoszy, ale i chleba. Do tych labiryntów, do tej sieci przyczyn i skutków ekonomicznej i psychologicznej natury przystępuje czytelnik książki Carpentera.

Nie można powiedzieć, że książka ta pozwala się wśród tego labiryntu zorientować, że rozplątać może wszystkie węzły tej sieci, lecz przyznać trzeba, że dużo się do tego przyczynia.

Więc pierwsze zagadnienie: Czem jest pragnienie miłości i co z niego zrobili ludzie? Popęd płciowy, podstawa najtrwalszych, najsilniejszych uczuć ludzkich, jest wszechogarniający w naturze organicznej: wszystkie twory od najdrobniejszych do najwyższych podlegają mu, bo utrzymuje on ich gatunek. U człowieka popęd ten, w naturalne swe łożysko ujęty, połączony z pierwiastkami duchowymi, czyni zeń istotę potężną, natchnioną, twórczą. Świadczy o tej prawdzie cały szereg dzieł i czynów ludzkich, na tej podstawie zbudowanych.

I oto ten naturalny i niezbędny instynkt dostał się pod pręgierz, został ogłoszony za grzeszną żądzę, o której się nie mówi głośno, za kalectwo natury ludzkiej! Ale natura drwi sobie z tego rodzaju zakazów mści się za naruszanie jej praw. Popęd do miłości, dostawszy się pod pręgierz, bynajmniej nie stracił swej siły, tylko skrzywił się i wynaturzony zwrócił przeciwko człowiekowi ze straszną ale teraz niszczącą już siłą, o czem dostatecznie przekonywa życie codzienne i zaczerpnięte zeń dzieła Kraft-Ebinga.

Ci sami, którzy chcą zwalczać tę siłę, wiedzą dobrze, że jest ona niezwalczoną, więc zamykają na to oczy i obłudnie zasłaniają zwycięskiego przeciwnika pozorami, wytwarzając w ten sposób istne otchłanie kłamstwa.

Aby dać chociaż w przybliżeniu obraz zamętu, jaki dziś w tych sprawach istnieje, musimy porzucić często etyczną stronę kwestyi i rozpatrzyć stronę ekonomiczną, gdyż, jak już wspomnieliśmy, ściśle są obie ze sobą związane.

Dzisiejsze ekonomiczne stosunki nie pozwalają ogromnym masom ludzi zadowolnić swego pożądania miłości w naturalny sposób, zmuszają całe miliony ludzi do celibatu, lub do szukania tańszej, na chwilę sprzedawanej miłości.

Z drugiej strony ten sam system ekonomiczny dostarcza całego zastępu kobiet, które dla zatrzymania się przy życiu muszą swe ciało sprzedawać. W tym chyba tylko wypadku system ten jest bardzo konsekwentny: stworzył zapotrzebowanie i dostarczył towaru na rynek aż zanadto.

Stanęliśmy wobec strasznej kwestyi ekonomicznej niewoli kobiety i eo ipso wobec kwestyi prostytucyi!

Dużo o tych kwestyach znajdzie czytelnik dzieła Carpentera w rozdziale: „Die Freiheit des Weibes“. Carpenter mówi: K o b i e t a s t a ć s i ę m u s i w o l n ą o d p i e n i ę ż n e j z a l e ż n o ś c i o d m ę ż a l u b u l i c y, w o l n ą o d b o j a ź n i „o p i n i i p u b l i c z n e j“, w o l n ą o d w y b o r u p o m i ę d z y s t a r o p a n i e ń s t w e m l u b n i e w o l n i c t w e m c a ł e g o ż y c i a!“ Bez tej wolności nie można marzyć o wolnem społeczeństwie, o jakiem mówi autor w rozdziale: „Die freie Gesellschaft“, nie można marzyć o prawdziwej rodzinie przyszłości, o jakiej mówi w rozdziale: „Die Ehe — ein Blick in die Zukunft“. *)

Uważne przyjrzenie się dzisiejszym formom małżeństwa wystarczy dla człowieka, który umie jasno patrzeć, ażeby rzucić przekleństwo na całe „dziś“. Bo czem jest dziś w większości wypadków małżeństwo? Pożyciem dwojga ludzi, których nic nie łączy, tylko więzy prawne i kościelne, co przykuwają ich na życie całe, brutalnie, bezwzględnie. Można wykazać dwa typy małżeństw najważniejsze: jeden, gdy dwoje ludzi wzajemnie się oszukuje, wzajemnie paczy sobie dusze i drugi typ, bodaj smutniejszy jeszcze, gdy rodzaj uczucia, łączącego dwoje ludzi, odrywa ich od całości społeczeństwa, ogranicza ich świat do ciasnego świata swego wspólnego „Ja“, swej rodziny, czyni ich serca nieczułemi na bóle wszechludzkie, na troski, nadzieje i zawody całego społeczeństwa. W obu wypadkach skarlenie człowieka.

Za najważniejszy, zawierający właściwie główną treść książki rozdział, uważać chyba należy p. zatytułowany: „Die Freiheit des Weibes (Wolność kobiety). L u d z i e w t e d y d o j r z e j ą d o p r a w d z i w e j m i ł o ś c i, g d y z n i k n i e w i c h s p o ł e c z e ń s t w i e k o b i e t a - n i e w o l n i c a, a n a t o m i a s t z j a w i s i ę k o b i e t a r ó w n o u p r a w n i o n a z m ę ż c z y z n ą, a b s o l u t n i e n i e z a l e ż n a o d n i e g o m a t e r y a l n i e, c i e s z ą c a s i ę s z a c u n k i e m i t r o s k l i w ą o p i e k ą c a ł e g o s p o ł e c z e ń s t w a p o d c z a s o k r e s ó w n i e z d o l n o ś c i d o p r a c y. Gdy kobieta taki stopień wolności osiągnie, stanie na czele kulturalnej pracy odrodzenia ludzkości; ona wskaże drogę, do prawdziwej miłości wiodącą, bo z natury swej w sprawach uczucia stoi daleko wyżej od mężczyzny, który przez swe stanowisko władcy zatracił dużo dobrych cech swej duszy: pacząc charakter swej niewolnicy, sam paczył jeszcze więcej

---

*) Drukowany w tłómaczeniu Nr. 14 i 15 Nowego Słowa b. r. *(Przyp. Red.)*

swoje własne uczucia, aż doszedł do zupełnej gruboskórności w tym kierunku, jaką odznacza się dzisiaj. (Patrz rozdział: „Der Mann — das unreife Geschlecht“). Można postawić Carpenterowi zarzut, że w kilku miejscach zbyt wiele buduje na czystej etyce, za słabo traktując warunki gospodarcze, że jego dodatkowe rozdziały, poświęcone tak ważnym sprawom jak przeludnienie uprz.: „Ueber Mittel zur Verhütung der Uebervölkerung“ zbyt pobieżnie te sprawy traktują — wogóle jednak książka ta porusza i omawia w sposób jasny piekące kwestye dzisiejszej kultury, wywołuje uczucie zgrozy i głębokie przejęcie się sprawą tak niezmiernej doniosłości rolę odgrywającą w życiu człowieka — jak miłość.

CIEMBRONIEWICZ JÓZEF.

PRZEDPIEKLE GABRYELI ZAPOLSKIEJ A PEDAGOGIA.

DOKOŃCZENIE.

Przypatrzmyż się teraz świetnie, aczkolwiek króciutko nakreślonej charakterystyce nauki. Jednym rzutem pióra dotknęła Zapolska najzwyklejszych i najgłówniejszych błędów dydaktycznych. Materyał do nauki ogromny! To pierwszy kardynalny błąd, a z niego jak ze źródła wypływają inne; a więc brak ugruntowania wiadomości, pospiech i owo „postępowanie jak u dzikich, którzy ugniatają głowy swych nowonarodzonych dzieci, w raz zrobionych do tego użytku klatkach, i nie pozwalają rozrosnąć się czaszce inaczej jak według raz postanowionej formy. Jest to niewątpliwie pięknie, powiada Zapolska, i praktycznie dla ojca rodziny widzieć swe całe potomstwo dźwigające jednego kształtu głowę, tem bardziej, że ułatwia to niezmiernie system do noszenia kapeluszy, czy jednak hygiena i logika nie miałaby pewnych zarzutów, o to się czerwonoskórcy nie troszczą wcale“. Rozwijając w dalszym ciągu to trafne porównanie dowodzi Zapolska, że system klatek uciskających mózgi rozwielmożnił się nie na żarty, że profesorom nie zależy na tem, aby nauczyć, że te które „nie pojmują“ zostawia się na drugi i trzeci rok w tej samej klasie. Niech sobie siedzą słuchają i denerwują się dwa lub trzy lata nawet, daremnie siląc się zrozumieć rzeczy dla nich nie przystępne! Zniechęcone przestaną się wreszcie silić — „będą siedzieć w ławkach z nawpół otwartemi ustami drzemiąc lub myśląc o zamażpójściu lub słabości starszej siostry“. System taki musi doprowadzić do tego, że zaczną pomagać sobie podpowiadaniem, jednem słowem wezmą się na sposoby, zaczną oszukiwać. Systemat ten jest zły, błędny, a jest on prawie nieodłączny od tych zakładów naukowych w których równocześnie kilkadziesiąt uczniów lub uczennic naukę pobierać musi. Chociażby nauczyciele jak najwięcej

i jak najtroskliwiej starali się uwzględnić indywidualność uczniów, zło nie da się tak szybko usunąć, potrzeba reformy i to reformy gruntownej, która nie prędko jeszcze nastąpi. Pani Zapolska jest przeciwniczką nauki wspólnej. Szkoda, że nie podaje nam jakby się ją dało usunąć, trzymanie bowiem guwernantek nie każdemu jest dostępne, a ma także swoje złe strony.

Zarzut, że nauka bywa udzielana nie praktycznie, zarzut że *discimus sholae non vitae* jest zupełnie słuszny. Prawda „że na wsi między krowami, a zielskiem więcej się można nauczyć niż w szpitalu Gierczykiewiczowej", bo tam widzi się to o czem się uczy, bo tam nauka znajduje zaraz zastosowanie, nie brzmi bez echa, nie jest gołosłowną.

Wychowaniu macierzyńskiemu przyznaje Zapolska ogromnie wiele, tam nawet gdzie jej chodzi o wychowanie kobiet, twierdzi z całą stanowczością „że kobieta chowana bez matki iść musi na marne".

Katastrofa w zakładzie, śmierć jednej z pensyonarek zmusza panią Gierczykiewicz do wezwania młodego lekarza, lekarza, który sam o sobie twierdzi, że się o kilka dziesiątek lat przedwcześnie urodził. Przez usta tego postępowca wypowiada Zapolska swe zapatrywania jak właściwie wyglądać powinno wychowanie kobiety „która nie wegetować, lecz żyć i tworzyć pragnie..."

A więc należy kłaść nacisk na wychowanie fizyczne, starać się, aby duch nie rozwijał się kosztem ciała, jedynie bowiem tylko prawidłowy rozwój i duszy i ciała wytworzyć może całość taką jaką wychowanie wytworzyć powinno.

Jeżeli każdego człowieka zapoznawać należy z zasadami hygieny, tembardziej z zasadami temi zapoznawać należy kobietę, która ma być matką, od zachowania zatem której zależy czy dziecię ma być zdrowe i prawidłowo rozwinięte.

„Ograniczyć należy liczbę godzin klasowych, lokal powinien ściśle odpowiadać liczbie uczennic; wynająć mieszkanie za miastem w otoczeniu pól i lasów, zaprowadzić gimnastykę, kąpiele, ruch, lecz nie tanie i denerwujące zabawy, dozwolić rosnąć, rozwijać się, kłaść nacisk na praktyczną stronę życia. Matki, żony z nich tworzyć, dając każdej w rękę jeszcze jakiś fach, który pozwoliłby w razie biedy zarobić na utrzymanie. Trzymać ich zmysły na wodzy ruchem, powietrzem, zajęciem bezustannem. Mówić z niemi o wszystkiem, odsłaniać tajemnice natury powoli, stopniowo, wskazując proces rozmnażania się, jako najdoskonalszy cud, a nie jako środek zadowolenia rozpusty".

„Na cóż się przydadzą odkrycia i zdobycze umysłowe, — pyta Zapolska, jeżeli łona kobiet od dziecka histeryą wstrząsane wyrzucać będą same niedonoszone płody lub anemiczne ohydne noworodki skomlące i drżące przy piersi matczynej, łupy śmierci w chwili ożycia?" Pytanie to za Zapolską powinna sobie zadać każda matka i powinna usilnie starać się na to pyta-

nie odpowiedzieć. Odpowiedź jedna tu tylko być może, jedną też tylko drogę postępowania obrać można.

Zapolska nie wymyśliła żadnego nowego systematu pedagogicznego, odmalowała nam zato barwnie silnym czarnym tuszem, powszechnie zdarzające się wady w wychowaniu kobiet, a obrała do tego drogę bardzo właściwą, bo powieść pewnie tam trafi, dokąd nie zaszłoby dziełko specyalnie naukowo napisane. Gwałtowne zdarcie z oczu zasłony potrzebne było. Po przeczytaniu Przedpiekła z pewnością trwoga napełni serca niejednej matki, a może i zwątpienie w serce się wkradnie, a z niem niechęć do oświaty dla kobiet. Nie ten cel pragnęła osiągnąć Przedpieklem Zapolska. Ona pragnie całą duszą, całem sercem reformy, pragnie dożyć chwili „kiedy dziewczyny nie zabijać się po przedpiekłach, ale tak jak kwiaty wśród słońca rosnąć będą".

WIEC KRAKOWSKIEJ MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ W SPRAWIE SŁUCHACZEK.

Dnia 16. października b. r. odbył się w sali Kopernika Collegium novum pierwszy w tym semestrze wiec młodzieży akademickiej, zwołany w celu zniesienia ograniczeń, stawianych kobietom w zapisywaniu się na uniwersytet. Referent p. Wasserberg przedstawił historyę i stan dzisiejszy omawianej sprawy. Oto jej streszczenie: Mocą reskryptu Ministeryum Oświaty kobiety przyjmowane są na wszystkie wydziały z wyjątkiem: prawniczego i teologicznego od 1878 r., ze stopniem specyalnie dla słuchaczek wprowadzonym, stopniem hospitantki. Stopień ten daje minimum praw uniwersyteckich, bo tylko możność korzystania z wykładów i ewentualnie zdawanie colloquium o charakterze prywatnym, zależnym od dobrej woli każdego profesora, który może hospitantce odmówić egzaminu. Uchwała ministerstwa oświaty z 1897 roku dopuściła kobiety do zapisywania się na dostępne dla nich wydziały, odpowiednio do kwalifikacyi, w charakterze zwyczajnej i nadzwyczajnej słuchaczki. Stopień hospitantki utrzymuje się nadal, jak senat orzeka — dla tych kandydatek, które ze względów formalnych, praw wyższych osięgnąć nie mogą *). Od roku 1897 przyjęcie słuchaczki w charakterze hispitantki, zależne było od dziekana i odpowiedniego docenta i rozstrzygało się na zebraniu profesorów. W lipcu 1903 r. collegium profesorów uchwaliło, że kandydatki na hospitantki muszą starać się osobiście o zgodę profesorów, z których wykładów korzystać pragną i dopiero po uzyskaniu ich pod-

*) Jakie mianowicie są te względy formalne, wyjaśnione nie zostało, choć informowano się w sekretaryacie uniwersyteckim.

pisów na prośbie wystosowanej do odpowiedniego wydziału, odnośne papiery przyjęte będą w dziekanacie. Ponieważ ostatnia uchwała utrudnia dostęp kobietom na uniwersytet; dla stron obu profesorów i słuchaczek komplikuje manipulacye, które dawniej w prosty sposób załatwiane były, więc referent, postawił rezolucyę, by delegacya którą przy końcu wiecu młodzież obierze, zwróciła się do senatu z odnośnem żądaniem i tamże rzecz załatwiła. Senat wszakże, wyprzedził orzeczenie tej części rezolucyi p. Wasserberga, uchwalonej następnie znaczną większością głosów, gdyż już w dzień wiecu zniósł wydaną przez się uchwałę lipcową, ustanawiając przy dziekanacie specyalną komisyę rozstrzygającą o przyjmowaniu hospitantek na wszystkie dostępne dla kobiet wydziały, z wyjątkiem wykładów prof. Straszewskiego i Docenta dra St. Grabskiego, którzy zastrzegli sobie prawo osobistego przyjmowania kandydatek.

Druga i donioślejsza część referatu tyczyła się uchwały z 1897 r., dopuszczającej kobiety do stopnia rzeczywistej i nadzwyczajnej słuchaczki. Kwalifikacye żądane od kandydatki na rzeczywistą słuchaczkę są: 1) skończonych lat 18, 2) matura gimnazyalna austryacka, ewentualnie świadectwo zagraniczne, uznane za równoważne i 3) poddaństwo austryackie.

Census dla nadzwyczajnej słuchaczki jest: 1) skończonych lat 18, 2) matura seminaryjna, ewentualnie świadectwo inne uznane za równoznaczne, 3) poddaństwo austryackie. Ponieważ 3-ci warunek przyjęcia, poddaństwo austryackie stanowi ograniczenie odnoszące się wyłącznie do kobiet, a zniesiony być może jedynie przez ministeryum, do którego jednostki interesowane zwracać się muszą każdorazowo z odpowiednią petycyą, i w oczekiwaniu odpowiedzi z ministerstwa tracić czas wymagany do doktoratu lub licencyatu na prawach hospitantki, nie zaliczanych do całości studyów — referent wniósł rezolucyę, by wiec wystosował petycyę do ministerstwa, żądającą zniesienia ograniczeń w prawach stydyujących kobiet, t. j. zniesienia omawianego powyżej 3. warunku przyjęcia: poddaństwa austryackiego i zrównania słuchaczy ze słuchaczkami odnośnie do lat wymaganych w stopniu nadzwycz. słuch. które dla chłopców określają lat 16, dla kobiet 18.

Rezolucya przyjęta została przez obecną młodzież większością głosów.

Ciekawa dyskusya toczyła się w kwestyi sposobu podania petycyi do ministerstwa. Stawiano dwa wnioski: 1) wniesienie petycyi młodzieży za pośrednictwem sejmu, 2) za pośrednictwem parlamentu. Pierwszy wniosek przeszedł większością głosów 90, przeciw 62.

Wiec zakończył się obraniem delegacyi z 6 członków który po porozumieniu z senatem akademickim krakowskim, ma udać się do Lwowa, zwołać tamże wiec młodzieży uniwersyteckiej w danej sprawie i po porozumieniu się ze studenteryą tamtejszą, wnieść do sejmu solidarny wniosek 2-óch uniwersytetów polskich.

Po przedmiotowem sprawozdaniu z referatu i wyników wiecu, kilka

uwag subjektywnych. Referat p. Wasserberga ściśle rzeczowy postawił kwestyę na wysokości jej aktualnego znaczenia. Wyłączał niejako specyalne traktowanie t. zw. kwestyi kobiecej, wytrącał wielkie dyskusye i piękne brzmiące zapowiedzi. Ograniczył się do przedstawienia określonej potrzeby chwili i pozwolił jej mówić za siebie. A głęboko wrosła, mocno na gruncie społecznym przyjęta, nie idea już tylko, ale bezwzględna, rzeczywista konieczność, znalazła kilku zaledwie trefnisiów, szopkarzy komersów wiecowych, którzy zawodowo ćwicząc się w dowcipie, próbowali jak zwykle tak i tym razem sukcesu. Ale śmiech wywołany był krótki, nieśmiały — pusty i przykry, jak przyczyna jego: sobkostwo i ciasnota.

Ożywiona dyskusya toczyła się nad wnioskami końcowemi. Pan Wasserberg przemawiając za podaniem rezolucyi wiecu do ministeryum wiedeńskiego przez parlament, miał na myśli zainteresować wszystkich posłów austryackich i przez nich znieść uchwały ograniczające prawa kobiet studyujących na wszystkich uniwersytetach austryackich, do których uchwała ministerstwa się stosuje. P. Woroniecki i popierająca go większość stała na gruncie autonomicznym i żądała zniesienia uchwały ministerstwa za pośrednictwem sejmu, zatem sił krajowych, nie troszcząc się o szersze zastosowanie wniosku.

Godne zaznaczenie jest także zachowanie się kobiet. Choć wiec zwołany był w ich sprawie, nie brały udziału w dyskusyi. (Odezwanie się pani Danhäuser — Sikorskiej w sprawie formalnej, nie może być brane w rachubę). Kwestyonować nie chcę zainteresowania się sprawą, ani też słusznej oceny jej doniosłości społecznej przez słuchaczki, dość licznie zresztą reprezentowane na wiecu. Notując sam fakt ich milczenia, podkreślam go jako stan chronicznej apatyi i bierności, objawiający się stale na wszystkich niemal zebraniach studenckich, zarówno w stowarzyszeniach, jak na wiecach i komersach. Charakterystyczna ta nieśmiałość i brak wyrobienia w publicznem życiu nawet tych jednostek, które i rozumnie myśleć i dobrze mówić potrafią, a w szerszem audytoryum zaznaczyć się nie umieją, jest smutnym dowodem jak mało mamy jeszcze zaufania w swoje siły, i jak mało umiemy bronić własnych, choćby najbliższych interesów. *Irena Mayzel.*

KRONIKA.

Kursa wieczorne ogrodnicze rozpoczynają się dn. 26 b. m. w lokalu Towarzystwa Ogrodniczego w Krakowie (Gołębia 18) o godz. 6. wieczorem, wykładem Dra Golińskiego: „O szkodnikach w ogrodnictwie“. Zapisywać się można codziennie od 6 do 8 g. wieczorem; opłata wynosi 1 Kor. wpisowego.

Uważając ogrodnictwo za niezmiernie odpowiednie zajęcie dla kobiety, zarówno zawodowe jak i poboczne, zwłaszcza dla mieszkanek wsi i małych miasteczek, zwracamy uwagę czytelników naszych na powyższe wykłady przygotowujące do zawodu przyjemnego, zdrowego i popłatnego.

Dr. Alfred Blaschko: „Prostytucya

w XIX. wieku". Pod tytułem niemiecką książeczkę mam przed sobą („Die Prostitution im 19 Jahrhunderte") Jest ona jedną z 15-tu książeczek wydawnictwa „Na początku stulecia"; w tym wydawnictwie znajdzie się jeszcze parę książek, które nas bliżej obchodzą, lecz ich omówieniem zajmę się później, biorąc na początek tę z nich, która zajmuje się kwestyą tak ważną i tak bolącą, jak prostytucya.

Z pierwszego rozdziału, stanowiącego krótciutki historyczny przegląd wiekowej niedoli kobiety dowiadujemy się, że prostytucya istniała od czasów zamierzchłej starożytności, lecz przechodziła różne formy, podczas różnych epok. I tak w starożytności najprzód znajdujemy ją w formie religijnego kultu: kapłanki bogini Astarty i Wenus oddawały się mężczyznom podczas pewnych świąt czy igrzysk ogólnych. Później już w epoce rozkładającego się Rzymu zaczynają się pojawiać domy publiczne, zapełnione niewolnicami, jako własność prywatna, lub nawet państwowa.

W wiekach średnich tworzy się formalny „cech" prostytutek pod opieką gminy i państwa. Opiekunami tych „cechów" bywały często osoby wysoko postawione w hierarchyi świeckiej i nawet kościelnej. Dużo dałoby się jeszcze przytoczyć szczegółów w tej kwestyi, lecz pomijam je jako niekonieczne, a wprost wstrętne. Reformacya na czas pewien wywarła swój oczyszczający wpływ i na stosunek mężczyzny do kobiety wogóle, lecz na krótko tylko.

Z nastaniem wieku pary i szalonego rozwoju przemysłu fabrycznego prostytucya rozwinęła się do takich rozmiarów, jakie posiada dziś, stanowiąc przy obecnym stanie wychowania i zarobkowania zarówno kobiet jak i mężczyzn zło konieczne, które ustąpić może tylko wraz z naprawą wspomnianych stosunków.

Wkraczamy do rozdziału drugiego, w którym autor zgłębia przyczyny, dzięki którym omawiana rana społeczna do takiego groźnego stanu doszła, w jakim widzimy ją dzisiaj. Główny nacisk kładzie dr. Blaschko na stosunki gospodarki społecznej, które stworzyły wielki popyt na stosunki pozamałżeńskie i zarazem z nieubłaganą logiką podaż towaru żywego. Rzeczy to już znano ogólnie i w szczególności czytelnikom „Nowego Słowa", na łamach którego sprawy te nieraz już były oświetlane; z jednej strony walka o byt niepozwalająca mężczyźnie na ożenienie się w czas (szczególnie stosuje się to do stanu średniego, w którym żona stanowi mało produkcyjną siłę), z drugiej strony fatalne warunki zarobkowania kobiet, które zmuszone są dorabiać na życie przez sprzedawanie ciała swego.

Ciekawe dowody w tej sprawie przytacza dr. Blaschko w formie cytat ze sprawozdań urzędowych władz fabrycznych, inspektoratów: Berlina, Düsseldorfu, Erfurtu i td., z których widać jak na dłoni, że zastępy prostytutek rekrutują się nie z próżnujących kobiet, lecz z klasy ciężko pracujących robotnic fabrycznych, szwaczek, służących, kelnerek itd.

Przyznać jednak trzeba, że z porównania cyfr statystycznych z lat: 1855, 1873 i 1898 okazuje się, że w tym ostatnim roku liczba zajętych w przemyśle fabrycznym prostytutek była najmniejszą. Statystyka tego rodzaju prowadzona w Berlinie wykazuje: prostytutek-robotnic w 1855 r.: 70% ogólnej liczby; w r. 1873: 64,3%; a w r. 1898 tylko 43,4%. Najnowszych cyfr niestety pod ręką nie mam, więc nie wiem, czy postęp dalej idzie w tym kierunku. Zresztą r. 1898 był rokiem wyjątkowo w przemyśle dobrym: dziś, gdy panuje w wielu gałęziach kryzys, sądzę, że i tego rodzaju statystyka wypadłaby mniej pomyślnie.

Nie należy jednak wątpić, że i podniesienie się poziomu umysłowego i etycznego berlińskich robotnic przez przeciąg lat od 1855 do 1898 może być znaczne i poważnie odbić się na liczbie robotnic-prostytutek. Rzecz prosta, że ogólnie biorąc, te robotnice, które dostają się do szeregu prostytutek należą do kategoryi słabszych: jest dużo takich, które wolą nędzę cierpieć, z głodu przymierać, niż się sprzedać, ale są to zastępy nieliczne, wyjątkowo silne natury.

Trudno jednak zgodzić się z teoryą włoskiego psychologa Lombrosa, który uważa

wszystkie prostytutki za istoty, z góry już stygmatem hańby naznaczone „prostytutki urodzone“, istoty upadek swój zawdzięczają wrodzonej „moral insanity“.

Dr. Blaschko, zwalczając to mniemanie słusznie zapytuje, dlaczego właśnie owe „urodzone prostytutki“ nie występują w równomiernym stosunku procentowym we wszelkich warstwach kobiecej ludności, tylko właśnie najliczniej tam; gdzie warunki materyalnego bytu są najcięższe? Czy nie wskazuje to, że warunki te w połączeniu ze ściśle zależnemi od nich warunkami wychowania etc. największy wpływ mają na źródła, z których rekrutują się kobiety upadłe? Oczywiście jest wiele wypadków, w których daje się obecnie wpływ dziedziczności, obciążenia rodzinnego alkoholizmem, lub inną chorobą (patrz kronika w Nr. 18 o studyach Bonhoeffera), lecz za ogólne prawidło służyć to nie może.

III. rozdział pracy dra Blaschko wykazuje straszne spustoszenia, jakie czyni prostytucya w ludności, przez swe skutki bezpośrednie — choroby weneryczne, nie mówiąc już o skutkach moralnej natury; mówi o bezskuteczności systemu reglementacyi itp.

Rozdział V. i ostatni zawiera „projekty reform“ na tym polu i credo autora, wedle którego zupełne usunięcie prostytucyi i jej skutków możliwem jest jedynie w tej przyszłości różowej, gdy „szczęście wszystkich będzie celem, a praca wszystkich — środkiem“.

Z kursów dla kobiet. Kursa tow. Atheneum we Wiedniu. Mamy przed sobą książeczkę, zawierającą roczne sprawozdanie tow. docentów uniwersytetu „Atheneum“, celem którego jest szerzenie poważnej wiedzy wśród kobiet. Towarzystwo rozpoczyna czwarty rok istnienia i w sprawozdaniu swoim wyraża zupełne zadowolenie z wyników swej pracy, nie narzeka na brak słuchaczek, a to już wiele znaczy.

Prezesem towarzystwa jest powszechnie tu szanowany prof. anatomii E. Zuckerkandl, który w ogóle dla studyujących tu kobiet wiele bardzo czyni dobrego. Wykłady „Atheneum“ odbywają się najczęściej w wykładowej sali instytutu anatomicznego.

W ubiegłym roku (1902/3) było wszystkiego 27 kursów z najrozmaitszych dziedzin wiedzy ludzkiej. Ciekawą jest rzeczą, że tak w przeszłym jak i w tym roku odbywa się jeden kurs wykładów poza salą wykładową. Jest nim: „12 wykładów o malarstwie“, które to wykłady mają miejsce w różnych gałęziach obrazów jakie posiada Wiedeń; wykłada dr. v. Frimmel, a kurs ten takie miał powodzenie, że p. Frimmel musiał urządzić kurs równoległy ze względu na natłok słuchaczek.

Program tegoroczny zawiera 33 kursa z różnych dziedzin, bardzo jest urozmaicony i wykładają znane siły naukowe.

Wyliczam kilka kursów, ażeby dać pojęcie o ich treści:

1. Dr. Salomea Goldmann: „Vorgeschichte der französischen Revolution“.

2. Storia della letteratura italiana nel secola XIX. prof. dr. Maddalena.

3. Dr. Karol Renner: „Die Frau in der Produktion“.

4. Dr. Conrad: „Mathematikkurs“.

5. Dr. Lihotzky: „Hygiene des Frauenlebens“.

6. Dr. Joseph: „Allgemeine Biologie“.

Szczególnie pocieszającym zjawiskiem jest liczne audytoryum na wykładzie hygieny kobiecej, jaki miał miejsce i w przeszłorocznym kursie. Do kursów tych ma prawo każda kobieta, jeżeli skończyła lat 16.

Opłata nie jest zbyt wygórowaną, bo prócz wpisowego 3 koron, wynosi 10 koron za jednogodzinny kurs, 15 za półtoragodzinny i 20 za dwugodzinny.

Z książek:

Pani dr. M. Schulz: „Hygiene genitale de la femme“ 4 fr

Pani dr. M. Schulz: Hygiene générale de la femme“ 4 fr. (Doin. Paris 1903).

Katinka von Rosen: „Ueber den moralischen Schwachsinn des Weibes“ (Halle — 1904. 1 Mk.).

ELINA DĄBROWA DĄBROWSKA

MIŁOŚĆ

Podwójną cię ukochałam tęsknotą:
Jedna to ta szalona,
Co o poranku się rodzi — a z wieczora kona,
Co się rozbłyska, błyskawicą złotą,
Co zasnuwa horyzont duszy
Chmur czarnych zwałem,
Co jest życia szałem,
I rozkoszą katuszy.
Co dnia jednego ducha zabija,
Drugiego zmartwychpowstaje,
Jako burza nagle zrywa się — i mija...
Co obiecuje słoneczne raje
A w otchłanie strąca rozpaczy.
Życie skręca, paczy,
Paraliżuje czyn! —
Jakich win
Jest karą — nie wiem.
Ale jest przebolesna
Ta męka ducha — i ta cielesna,
Co się ze sobą plotą —jako siostry rodzone...
Wyzwolić się od nich nie mogę.
(Ty nie pojmiesz ..)
— Spójrz, w stronę
Kędy wiatr nielitosny — liście zżółkłe miecie —
Bledniesz może... trwogę
Odczuwasz?... Przebacz, mój serdeczny!
...Lecz listki żółte szarpane,
To uczucia moje...
Ach te smutne liści roje,
Te korowody,
Co niegdyś stroiły jedną, bogatą koronę drzewa.

. . . .

Jak smutno wiatr zawodzi
Śpiewa...

Śpiewa pieśń śmierci...
To umiera tęsknota,
Ta od błyskawic złota
I ta co gromy rodzi,
Zawodzi wichura... zawodzi...

. . . , ... , ... , .

To ta miłość, co zabija..
Co dnia każdego powstaje i mija. —

. . . . , ...

Lecz tej w słów akord ująć nie można,
A tej drugiej — tem więcej,
Tej jasnej — dziecięcej,
Ciągłej jako bieg rzeki,
Równy... daleki..
A smutny niezmiernie...
Żadnej nie oddam wiernie.

. . . .

Znasz te łzy przedporankowe,
Co po ugorach się kroplą o świcie?...
To łzy tęsknoty mojej — a ugor, to moje życie..,

. . . .

Znasz ty, zwiewne tumany mgieł, co się tłoczą
Nad skiby rozoranemi?...
Tak się tam kłębią, obłoczą...
A stawu toń czarną
Z niezbadaną głębią?...

. . . .

Takie głębie — i takie szrony perliste
I takie tumany mgliste
Ma ta druga tęsknota...
Tej brak blasku, złota —

. . . . ; . . . . .

Oboma ukochałam Ciebie,
O ty mój!...
— Widziałeś, jak w słońce wzlata muszek rój?
Z radością, z brzękiem,
Tęsknotą i lękiem.
A jednak lecą, bo na niebie,
Jest ich cel — słońce!
To też jak moja miłość...

. . . .

Ale słowa rodzą nieznaną zawiłość
I plączą się ze sobą,
A serce jest proste.
I można to wszystko rzec prosto. „Miłuję ciebie.“
Ale na duszy mej dziwnej glebie
Rosną kwiaty obce,
Których niepojmuję,
Chociaż cię miłuję... miłuję. . miłuję...
A ty rzeczesz „słowa... słowa...
A gdzież tej przędzy treść,
Gdzie jej osnowa?...“
Może odwrócisz głowę znudzony,
Pomyślisz, że mój umysł szalony.
Wzniesiesz kochaną głowę
I nerwową ręką
Rozgarniesz włosy twe jasne
Płowe
Jako słońce o południu...

. . , ... , . . .

Nie odchodź jeszcze — stój...
Słuchaj ty mój jasny?
Tyś jest mój... mój...
I nie wydrą mi ciebie
Przetrwam każdy bój...
Jako słońce świeci jasne na niebie...
Boś jest mój!...

. . . . , ...

Ponad prawem materyi
Panuje wolny duch.
Ja ducha twego zwołuję z przestrzeni
Co dnia...
Wśród jarzących promieni,
Schodzi sam jaśniejący
I jako mój duch tęskniący
Na łąki snów szmaragdowe...
Tam co dnia biorę w me ręce
Twą najmilszą głowę,
Gdy kląkłszy obejmiesz mi kolana
I tak oto co wieczora — co rana...

Mówię ci ciche, słodkie słowa. —
To jest przędzy-miłości, marzenie-osnowa!

. . . .

Wśród nocnych cieni
Czasem, gdy ta gromowa tęsknota mnie pali,
Co się błyskawicą promieni
Zwołuję ciebie kochany z przestrzeni...
Boś mój!

. . . .

Ale ta żałość co po ugorach błądzi,
O różnych się porach skrada, sądzi
Że ujrzy cię za chwilę..,
Ta omotuje przędzą szarą ma życie..
Wtedy to myślę skrycie
O śmierci ciszy...
Kiedy nikt... nikt nie słyszy...
Myślę, że gdy zabiję materyę
Duch mój zapomni na wieki,
Chcę przez śmierć utracić ciebie
Ty blizki — a tak daleki...

. . . .

Ale to kłamstwo.
Kocham tak,
Jako boży ptak,
Wolno, radośnie, słonecznie...
I żyć chcę wtedy – wiecznie;
Tak blizka — i tak daleka.
Lecz wtedy życie, zda mi się, ucieka. .
W oczach się mroczy,
...Lecz wtedy śnię twe oczy
Jasne i twą głowę. .
Tak życia drugą przeżywam połowę...
I tak cię kocham podwójną tęsknotą
Tą szarą — i tą złotą...

. . . .

Powiesz znów:
„Tyle słów... słów... słów. ."
Lecz ja w sercu prosto czuję:
Że ciebie miłuję... miłuję...

7. 10. 1903.

NOTATKI TEATRALNE.

Nieco spóźnione, lecz za to tem krótsze. Nie omawiam wszystkich dzieł wystawionych, ponieważ nie wszystkie widziałem. Gdy wrócą na scenę, będzie można o nich pomówić.

Z dzieł polskich wystawiono 15. września „Wianek mirtowy“ p. Jerzego Żuławskiego. Janka ma wyjść za mąż (za Edwarda), lecz, że kocha Władka, który właśnie dziś wrócił, więc jemu postanowiła oddać „wianek mirtowy“, a tamtego być żoną. Władek z rozpaczy się zabija. Bohaterką więc dramatu nie jest owa Janka, ponieważ autor nie dał jej nic zrobić, Władek zaś zabił się i w ten sposób... Autor razem z Władkiem sprzysięgli się, żeby jej właśnie nic nie dać zrobić, a na nią zwalić całą winę. Nad tą winą zastanawiono się obszernie w prasie. U nas bowiem można rozbierać, usprawiedliwiać lub potępiać czyny, które nigdy się nie stały, a może nigdy się nie staną. Bohaterem jest więc Władek, który się zabił. Dlaczego? Wyjaśniają to cztery akty, które ten postępek wyprzedzają. Można przyjąć i ten sposób wyjaśnienia, zwłaszcza, że rozliczne są powody, dla których ludzie zabijają się lub samobójstwem usuwają przeszkody. Co prawda usuwają siebie, przeszkoda nadal istnieje. Lecz przeszkoda,.. Wyobrażam sobie bowiem, że uczony Władek, który trzyma w ręku tajemnicę życia i śmierci człowieka, musi Jankę uważać za przeszkodę na drodze do celu. Lecz on jej nie uważa za przeszkodę. Widocznie nie wiele mu zależy na owej tajemnicy. Myślećby można, że mu zależy na Jance. Lecz i to nie — wszak się zabił. Temu człowiekowi na niczem nie zależy. Mędrcy niektórzy nazwaliby go może szczęśliwym — lecz Janka zna go bardzo dobrze. W pewnej chwili wstaje i mówi głosem poważnym: ty masz w oczach i na czole znamię ludzi dotkniętych losem. Janka wie, że Władek nie jest genialnym człowiekiem, że nigdy nie obcował z myśleniem, że więc nie umie kochać po ludzku, po prostu, lecz pragnie miłości nadludzkiej. Więc, że nie jest również kochankiem. Przy takim człowieku niema co marzyć o życiu aż do śmierci, o pracy, o rozrywkach, o życiu może burzliwem, lecz właściwie spokojnem i czynnem. Ona jedna wie, że ma do czynienia z człowiekiem bezradnym, niemocnym. Janka ocenia rzeczy w sposób właściwy, odgaduje Władka, widzi go wyraźnie: dla jego miłości ona byłaby tylko... przeszkodą, albo środkiem, podobnie jak dla odkrycia wielkiej tajemnicy nauka była mu środkiem. O kochaniu nie może być tu mowy, nieprawdaż. Janka postępuje tak, jak każdy człowiek, który chce zostać przy życiu. To ona właśnie dobrze zabiera się do usuwania przeszkód. — To wszystko Janka jedna wie. Mówi tylko nie swoim językiem. P. Żuławski nie poznał się na niej i kazał jej mówić dwuznaczniki, kazał jej rozumieć i wiedzieć, co robi. Gdy ona nie wie, a musi mówić prozą nie swoją, ani piękną ani właściwą. Obcą, zbyt ogólną. Kto zaś nie wie? Nikt. Ani Władek, on wiedzieć bowiem nie może, ani Edward, narzeczony, ponieważ dla niego Władek jest tylko rywalem. nie wie wreszcie sam p. Żuławski. Nie poznał się i na Władku, człowieku nieszczęśliwym. Po przedstawieniu zapewne się dowiedział. Pani Mrozowska (w roli Janki) wyjaśniła mu to swoją grą, która polega na tem, że artystka rozumie osobę przedstawioną, tłomaczy ją. Taki sposób jest artystyczny, chociaż często czyni dzieło czem innem jak jest. Postępki osób w ten sposób przedstawionych pochodzą z wiedzy i mają cel, są rozumne, gdy tymczasem mogły być i są (tu szczególnie) inne. To zmienia charakter ludzi autora, a raczej, (unikać bowiem trzeba „zmian“, które w istocie nie zachodzą), stwarza charaktery inne. Nic się nie zmienia, jest inne i nowe. W grze aktorskiej jest to prawdopodobnie zaletą. Władka rolę odegrał bardzo dobrze p. Mielewski.

„Publiczną tajemnicę“ przedstawiono 19. września. Jestto taka tajemnica, która po przedstawieniu ani dla aktorów ani dla publiczności nie jest tajemnicą. Tłomacz postąpił samowolnie z wyrazem francuskim. Sekret był stosowny. Tajemnica, to rzecz raz na zawsze niewyjaśniona. Można ją nawet znać, wyjaśnić jej nie można. Ów sekret zaś jest następujący: Rodzice dowiadują się, że syn ich ma dziecko. Ponieważ wzajemnie posądzają się o surowość w sprawach... moralnych (chociaż wcale nie są surowi), więc, nie chcąc sobie przykrości sprawiać, milczą, a cichaczem odwiedzają rodzinę syna. Ten ich stosunek znany jest człowiekowi wesołemu, polyszynelowi, który też, mając w ręku całą „nić intrygi“ postanawia ich ukarać, ponieważ uważa, że takie ukrywanie prawdy nie ma sensu. Za jego więc sprawą wszystko się układa: surowość i nieugiętość, znane z innej strony aktorom i widzom, zamieniają się i dla obojga rodziców w łagodność i pobłażliwość. Ukrywali się niepotrzebnie. To bardzo miłe, chociaż nudne. Tembardziej, że ów polyszynel (Trévoux, grał go bardzo dobrze p. Sobiesław) ma wszelkie cechy rezonera z dawnego teatru. Zajmującą też jedynie była gra artystów; drobna jedynie uwaga. Pani Rutkowska swobodnie prowadzi rozmowy w salonie, lecz nadużywa mimiki do tego stopnia, że mówienie staje się rzeczą zbyteczną. Podniesienie brwi np. może być prawdziwem objawieniem i dla aktora i dla widza: może znaczyć właśnie nie to, co znaczą słowa. Gdy zaś znaczy tosamo, jedno z nich niepotrzebne. Dla ścisłości, nieprawdaż, warto zanotować, że jest mimika naturalna i retoryczna. Tamta odkrywa patrzącemu rzeczy, które, być może, chciano ukryć, a ta jest służebnicą: służy do zakrywania lub objawiania rzeczy nieprawdziwych. O ile to naturalnie łączy się z mówieniem. Można więc np. udawać zdziwioną lub znudzoną, ponieważ to potrzebne dla wywołania u aktora drugiego zamierzonego wrażenia. Lecz tego już nie można mówić. Albo naodwrót. I t p. Przy sposobności będzie o tem można obszerniej pomówić.

„Ludka“ Piotra Veber'a (tamta sztuka była Piotra Wolffa) wystawiona 3. października wykazuje wiele sytuacyj zabawnych dlatego, że ludzie, którzy się tu poruszają, są stworzeniami lekkiemi: nie mają zwyczaju brania rzeczy zbyt poważnie. Dlatego zakończenia aktów są dla widza jakby parodyą ruchów majestatycznych lub patetycznych. Tak dalece prawdą jest, że tragizm czy komizm, nie od samych zdarzeń, lecz i od ludzi, którzy je tworzą, zależy. Zdarzenia zaś tu bardzo zawiłe, więc wystarczy powiedzieć, że odegrano rzecz bardzo starannie. „Ludka“ pani Rutkowskiej była lekkomyślna i czuła. Pisarze francuscy takiem określeniem posługują się, jako gotowym przymiotnikiem dla odmalowania figur.

17. października „Cud św. Antoniego“ M. Maeterlincka. — Od pierwszego rzutu oka widoczna, że tu nie o postać świętego Antoniego idzie, ponieważ ten, którego widać na scenie, niczem nie różni się od każdego innego świętego, wszystkie zaś przymioty świątobliwości, więc pokora, łagodność, słodycz, do każdego innego przystają, obce zaś są taumaturgowi z Padwy, jak go nazywają. Człowiek ten rzucał wymowne i groźne słowa na bogatych i grzesznych. Pokory nie znał, chyba wobec Boga. Nawoływał jak prorok do skruchy i piorunował na duchowieństwo leniwe, posługując się porównaniami bardzo plastycznemi. Miewał kazania, których gniew i oburzenie tylko pod względem doboru słów różniły się od kazań Savonaroli. Mówił bowiem prozą dosadną, malowniczą, bez ogródek. Lecz o to mniejsza. Idzie więc tu nie o niego samego, lecz o jego obraz, tkwiący w umyśle takiej np. Wirginii (Owa Wirginia jest służącą u bogatej panny Hortensyi, która umarła, a którą przyszedł wskrzesić święty ku niezadowoleniu krewnych zebranych w domu żałoby). Obraz ten zachował rys jeden, najbardziej uderzający wyobraźnie proste. Jest cudotwórcą i niczem ponadto. Zajmuje się robieniem cudów. Takim też jest św. Antoni we wszystkich książeczkach dewocyjnych. Powtóre, rzecz prosta, że

poeta, któryby chciał napisać dramat o św. Antonim padewskim, umieściłby go w środowisku właściwem, proroczem, egzaltowanem, buntowniczem XIII. w., co nie odjęłoby mu cech obecności czyli życia. Na scenie krakowskiej św. Antoni był siwym staruszkiem. Wiadomo zaś, że św. Antoni umarł, lat 36 mając, a ikonografia tego świętego przeważnie nie przedstawia go inaczej jak w postaci młodego bardzo człowieka. Oczywiście nie o dokładność lub prawdę historyczną tu idzie, lecz o prawdę, jaką ma w swojej głowie Wirginia. Ona zaś czerpie swoje wiadomości z źródeł powszechnie znanych i dostępnych, toteż jej święty nie może inaczej wyglądać. W istocie był to mnich krępy, otyły, niezmordowany, który swemi kazaniami powalał nieprzeliczone, skruszone tłumy.

Końcowa scena może pouczyć o całem dziele. Tworzą się bowiem tam dwa obozy: jedni uwierzyli (Wirginia), drudzy nie uwierzyli (wszyscy inni). Uwierzyli ci więc, którzy i przedtem wierzyli, nie uwierzyli, którzy i przedtem nie wierzyli. Co się stało z cudem? Cud jest naturalnie środkiem, nie celem. Święty Wirginii wcale sobie z tego sprawy nie zdaje (tu dobry temat do dramatu). Wszak nie może mu zależeć na tem, aby wskrzesić jakąś pannę Hortensyę, której nikt nie opłakuje, której więc wskrzeszenie niczyjego nie złagodziłoby bolu. Zresztą umarła po chwili. Więc może szło o to, żeby niewiernych skłonić do wiary. Cud bowiem jest także środkiem propagandy. — Temu zaś św. zależy przedewszystkiem na samym cudzie, który po chwili może zniknąć, po którym śladu nikt nie dostrzeże, chyba, że znajdzie się człowiek, który to opisze, chyba, że znajdzie się legenda, czyli, że ludzie uwierzą i wiarę przekażą innym. A więc ten św. robi, co robić mu każe vox populi wykształcona przez klerykalną propagandę.

Jestto św Antoni nie z legendy, (tu możnaby przedstawić go jako cudotwórcę), nie z historyi, a z książeczek dewocyjnych (w Krakowie znalazłem książeczkę wydaną w 1900 r. nakładem BB. Mniejszych) i z wyobraźni Wirginii. — Zważywszy zaś rezultaty owego wskrzeszenia można tę rzecz inaczej jeszcze postawić: Fakt zbudzenia się osoby mianej za zmarłą można tłomaczyć rozmaicie. Wyobraźnia poetyczna tłomaczy, że ją wskrzesił święty, inna, że wcale nie umarła. Cały więc ten dramat przedstawiałby się tak: zaszedł fakt, nie wiadomo tylko w jaki sposób. Sposób wprowadzenia świętego, lub sił „nadprzyrodzonych“ jest jedną z tysiącznych postaci. Dlatego możnaby tu nawet wprowadzić świętego w ten sposób, że widziałaby go jedna Wirginia, inni nie widzieliby go wcale. Byłoby to nie mniej logiczne niż w sposób inny. Autor jednak, że wprowadził św. w sposób „naturalny“, miał sposobność... zaaranżowania kilku „żywych obrazów“. Myślał może, że tu miejsce na jakieś płótno starego mistrza. Cisza. Przedsionek pusty, nieład, cebrzyki, podłoga zalana wodą, płaszcze wiszące na paterze w niemem oczekiwaniu razem z kapeluszami, Wirginia szurująca. W to środowisko tak bardzo codzienne wpada święty Antoni. Punkt kulminacyjny: św. błogosławiący Wirginię. Lecz, jak widać, to łatwe niezmiernie i kopia łatwiejsza nad inne kopie, ponieważ to żywy obraz.

Dla samego cudu jedynie właściwem byłoby zjawienie się w sposób „nadprzyrodzony“, czy cud miałby polegać na wskrzeszeniu, czy na zbudzeniu wiary w umysłach. Sposób zaś „naturalny“, pozornie prosty i naiwny, jest błędem artystycznym: można go przyrównać do kopii ozdobionej własnymi dodatkami albo naodwrót: ani to oryginał ani kopia. Brak jednolitości, więc prawdy, naturalnego środowiska Sposób ten może świadczyć o chęci stworzenia legendy, lecz tego nie można z pomocą już legendarnych lub historycznych postaci, które umarły i żyć mogą jedynie w swojem środowisku. Trzeba stworzyć nową legendę. Na każdy sposób (w historyi, w legendzie, jakkolwiek) poeta przedstawia człowieka we właściwem środowisku. W obcem człowiek ten może być obrazem, wspomnieniem, duchem, nie mniej żywym. Św. Antoni Maet. nie żyje wcale. Obaczymy, że takie cechy wykazują przypowieści, które nie przenoszą legendy na inny teren i w inną epokę, ani

też nie przenoszą się w minione czasy, lecz mięszają. Są to wierzenia, które ze swej strony mogą być przedstawione jako wierzenia, nie baczące na błędy artystyczne. To jednak trzebaby zaznaczyć.

A zatem właściwie dramatu niema, (jest zajście tajemnicze), ponieważ niema ani jednego człowieka. To jest zupełnie w stylu Maeterlincka, który nie umie malować ludzi. I jest logiczne. Tajemnicze zajście dzieje się bez względu na ludzi, odgrywają rolę siły bezosobiste, ogólne, jedne czynne, drugie bierne. Można ten sposób nazwać naiwnym — chociaż tym razem właściwie nieco ubogim. (Nadto św. wypada z roli siły skoro jest obrazem umysłu Wirginii, o szczegółowych znamionach). Właściwie bowiem stylu tu niema, chyba rodzajowość.

Co do owych ludzi, krewnych wskrzeszonej Hortensyi, którzy nie uwierzyli, to mogli by filozofom, zwłaszcza tym, którzy się mienią sceptykami, posłużyć do ciekawych spostrzeżeń, tembardziej, że już są uogólnieni, więc można ich wprost wziąć do rozumowania: 1o, że największe wątpliwości budzi rzecz pewna, oczywista, niezbita; 2o że ludzie niczego bardziej się nie boją niż pewności, którą też odpychają, ilekroć wobec niej staną. Nie można jednak o tych ludziach powiedzieć, że to umysły sceptyczne. Sceptyk zachowuje się jednako wobec wszelkich zdarzeń: taksamo dla pewności ma tylko nieśmiałe „Może". Usuwa pewność z rozmysłu, ponieważ jest umysłem utylitarnym, jak każdy umysł ludzki. Różnica jest tylko w tonie pobłażania (różnica, być może, stanowcza). Tamci ludzie odpychają, przeczą, ponieważ czują, że im pewność niepotrzebna. W ogólności ludzie pragną pewności i zdążają do niej czasem mimo wszelkie przeszkody. Lecz jakby na to, żeby na niej nie poznać się wcale. Gdy się ukaże, wówczaż zdaje się zwykłą, zbyt małą, zbyt codzienną. Oto i to jest dramatyczne. Chociaż nie można tego brać na seryo. Ten święty nie przedstawia świętości, ani cud nie jest cudem. (Sprawa maszyneryi). Ani on ani jego cud nikogo do niczego nie zmuszają. Nic więc dziwnego, że ci ludzie nie kwapią się wcale z oddaniem mu czci, obrazkowi z książeczek dewocyjnych, który mięsza się w sprawy nie swoje Patron.

Więc nie można w tem dziele dopatrywać się chęci przedstawienia sprzeczności między świętością a codziennością. Oburzenie tu byłoby zbyt łatwe, tembardziej, że tu nie z ludźmi mamy do czynienia, a z siłami. Ubolewanie również nie na miejscu, skoro w całem dziele jest bezosobiste spojrzenie z daleka. Coś się dzieje, nikt tego nie dostrzega, a ten, który dostrzega, widzi tylko tak długo, jak długo to trwa. Potem widzi co innego. Można w tem doszukać się ironicznego uśmiechu, lecz niema goryczy. Oburzenie tem łatwiejsze (czyt. recenzyę p. Rakowskiego. Czas z 19. X. 1903), że skierowane do ludzi, którzy inaczej myśleć nie mogą, a którzy w dodatku, mimo wszystko, zdobywają się w końcu na pełne zdumienia: „To dziwne". Nie można od nich wymagać spojrzenia sceptyka, ani pobłażliwości — tem mniej można spodziewać się po nich smaku. Wirginia zaś, mimo pozory, jest schematyczna, a to więcej jeszcze naprowadza na określenie następujące: mamy tu do czynienia z przypowieścią (porównać takie przypowieści w książkach, z których uczą się dzieci w szkołach ludowych), tylko z przypowieścią dla doroślejszych, ze względu na sposób wyrażania się tych ludzi, dla dzieci nie zrozumiały. W przypowieściach jeszcze, dopiero na końcu okazałoby się, że to święty, przez co zasługa Wirginii byłaby większa. A wówczas pozostaje rzecz jedna: malować rzeczy, jak są, czy jak były. Dodawszy do tego płatki śniegu gęsto sypiące na dworze, barwne mundury policyantów, uprowadzających świętego, staruszka w mniszym stroju, otulonego szalem i osłonionego parasolem, który dźwiga Wirginia w podkasanej spódnicy (ona wróci do zaczętej podłogi), otrzymamy właściwe podstawy oceny, która musi uczepić się tej atmosfery, tej dziwności, tkwiącej w końcowym malowniczym pochodzie. Lecz, jak wyżej zaznaczono, są to już niestety rzeczy gotowe. Poza tem dzieło to nie jest ani komedyą, ani satyrą, lecz przypowieścią. Przypowieści miewają morał. Oczywiście, o ile

go autor wypisał. Na scenie mógłby go wygłosić człowiek nazwany epilogiem lub famą lub tp. Ponieważ autor tego morału nie wypisał, więc go niema. Główną rolę Wirginii odegrała bardzo dobrze i starannie pani Wójcicka.

Po dwóch aktach Maeterlincka, oddeklamowali pp. Mrozowska i Leszczyński „Pocałunek“ Th. Banville'a w przekładzie A. Langego. Deklamowano składnie, chociaż zbyt porywczo, wydzierając sobie rymy wzajemnie. *St. Lack.*

Uwaga. Dalszy ciąg pracy „O doktrynerach“ odkładamy dla braku miejsca do następnych numerów „N. Słowa“.

SALON ROKU 1903.

Jak kruchą podstawą, na której nic budować nie podobna, jest zainteresowanie się ogółu sprawami sztuki, tego dowodem jest frekwencya na tegorocznej wystawie „Salonu“. W zeszłym roku sale Towarzystwa, były po otwarciu pierwszej wystawy przepełnione, zwiedzano ją aż do końca tłumnie, co też zapewniło jej powodzenie. W tym roku deszcz chyba tylko zapędzał czasami tutaj przechodnia na parę chwil, podczas których osuszał odzienie i szedł dalej. Przypuścić więc należy, że istotnym powodem zeszłorocznego zajęcia u publiczności była tylko nowość, jaką widziano w zawiązaniu się nowego stowarzyszenia i ciekawość, co też ono nowego przyniesie, trudno bowiem przypuścić aby pewne obniżenie poziomu artystycznego, jakie się dało zauważyć w tegorocznym „Salonie“ mogło tak zniechęcić ludzi do zwiedzania wystawy.

W rozmowach prywatnych nieraz usłyszeć można było przymiotnik „arystokratycznej“, który przyczepiano stowarzyszeniu „Sztuka“ i przymiotnik „demokratyczny“, którym ostęplowano typ stowarzyszenia „Salon“. Określenia tego używano zawsze, ilekroć szło o przeciwstawienie wartości obudwu stowarzyszeń, lub wykazanie wad w ustroju jednego, zalet zaś w ustroju drugiego. W „Sztuce“ spotykamy dobre obrazy, ponieważ należą do niej tylko najzdolniejsi malarze, „Salon“ zaś nie ma racyi bytu, bo, dopuszczając wszystkich bez wyjątku, obniża tem samem poziom artystyczny swej wystawy — wystarczy zatem „nieustająca wystawa“ w Towarzystwie. Te i podobne wywody słyszało się nieraz. Tegoroczne jury „Salonu“ jednak usprawiedliwiło poniekąd wspomniany przymiotnik, przyjmując na wystawę niektóre obrazy, których obecność liczebnie wobec surowego sądu (z nadesłanych dwustu kilkunastu obrazów przyjęto połowę), wydaje się nieco dziwna.

W rezultacie jednak nie brakło na tej wystawie kilku zupełnie dobrych obrazów, coby ją uratowało nawet w opinii surowych sędziów. Nadmienić tu bowiem należy, że takich wystaw, na których udaje się nagromadzić dzieła o wyjątkowej wartości artystycznej, jest w ogóle bardzo mało i, że są to przeważnie wystawy międzynarodowe, w których biorą udział najtęższi artyści całego świata. Do urządzania podobnych wystaw, konieczną jest pewna tra-

dycya, wyrobienie, umiejętność przewidywania różnych komplikacyj, które mnożą się niesłychanie łatwo, duże środki materyalne, tego zaś wszystkiego u nas niema.

Tegoroczna wystawa „Salonu“ uwidoczniła to, co w mniejszym stopniu zwraca już uwagę zazwyczaj na wystawie, mianowicie wpływ i przewagę impresyonizmu, malarstwa wrażeniowego, który podbił dziś całą Europę i widocznie najbardziej odpowiada upodobaniom i wymaganiom tak artystów jak publiczności. Miał on swoich wielkich pionierów jak Velasquez'a i Japończyków, hołdował mu też na starość Rembrandt w dziełach najbardziej indywidualnych, zatem na podstawie całego ogromu doświadczenia, któremu nie ma równego w całej historyi malarstwa. U nas przeważna część młodych zdolnych malarzy wytęża swe siły mniej lub więcej świadomie w tym kierunku. W „Salonie“, jeden z pejzaży St. Kamockiego był może najciekawszym eksperymentem tego rodzaju. Był to motyw z zamku tynieckiego, w oświetleniu porannego słońca, którego promienie padały z góry, z poza ram obrazu, ześlizgując się po powierzchni dachów, wierzchołkach drzew, po zboczu góry ku wodzie. Efekt świetlny, stosunek kilku czy kilkunastu plam, umiejętne zestawienie walorów, stanowiły całe zadanie malarza, nawiasem mówiąc wcale nie łatwe. Pejzaż cały malowany był jakby z przymrużonemi oczyma, bez akcentowania szczegółów, chodziło bowiem, tylko o zaznaczenie w r a ż e n i a całości. Słabo namalowana była w tym obrazie woda, podobnie jak w dwóch wcześniejszych pejzażach z Paryża. W stosunku do tych i innych obrazów Kamockiego, jakie się kolejno ukazywały na wystawie, pejzaż, o którym była mowa, jest znacznym krokiem naprzód, uwidocznia bowiem zmianę, poszukiwanie nowych form i środków wyrażania oraz pewne dojrzewanie talentu. Pejzaż Szczyglińskiego, którego prace znane z wystawy wiosennej w Towarzystwie zdawały się zapowiadać pejzażystę o niezwykłem poczuciu koloru, skali barw tak obszernej, z jaką rzadko spotkać się można u młodych malarzy i pewne smakoszostwo w wyborze motywów, tym razem ujawiły obniżenie skali wymagań u malarza, dużą łatwość w przyprawianiu obrazów, z której pomocą powstają one bardzo szybko; skutki jednak tego rodzaju pracy bywają, jak uczy doświadczenie, zawsze prawie jednakie. Z czterech wystawionych w „Salonie“ obrazów, dwa (Mały rynek w nocy i studyum pejzażu oświetlonego przelotnym efektem słońca) wykazywały wprawdzie uzdolnienie ich autora, ale nie dorównywały dawniejszym pracom. Należy mieć nadzieję, że jest to tylko chwilowe osłabienie, z którego fałszywych wniosków na przyszłość wysnuwać jeszcze nie można, stan przejściowy bowiem tego rodzaju nie rzadkim bywa u młodych.

Czajkowski Stanisław wystawił trzy obrazy: dwa pejzaże i rodzaj próby kompozycyjnej; taka bowiem nazwa zdaje się najodpowiedniejszą dla dużego szkicu, zatytułowanego „Melancholia“. Chciał w nim malarz przedstawić pewien nastrój duchowy, uczucie, którem obraz winien suggestyonować widza

nietylko umiejętnem zestawieniem motywu pejzażowego ze sztafażem, siłą wyrazu itd. itd. lecz głównie stroną kolorystyczną. Pewien psychiczny związek, jaki istnieje w oddziaływaniu koloru na duszę człowieka, powinien być malarzowi wskazówką, a spostrzeżenie to, wcale nie nowe, należy wyzyskiwać i stosować w obrazie z całym zasobem obserwacyi, doświadczenia i kombinacyj. Tymczasem zestawienie kilku zasadniczych barw, w jakich został skomponowany wymieniony obraz, nie wzbudza w widzu wcale tego uczucia, jakie podsuwa tytuł obrazu. Komponowanie obrazów jest rzeczą właśnie bardzo trudną a rezultat zależy tu przeważnie od sumy doświadczenia, o które u młodego artysty dość trudno. Ponieważ zaś wśród dotychczasowych prac Czajkowskiego jest to pierwsza może próba w tym kierunku, zatem przyszłość dopiero może pokazać, czem było to zboczenie z dotychczasowej drogi. Czajkowski bowiem znany jest jako pejzażysta, którego prace cechuje duża szczerość i prostota. Z tej prostoty, która obecnie jest jego zaletą, wynikają też czasem (jak to nieraz bywa) niektóre wady w jego pejzażach. Jedną z nich jest pewien rodzaj stępla, który wprawdzie wyróżnia prace Czajkowskiego, lecz upodobnia je zarazem do siebie, bez względu na różnorodność motywów. Sprawia to wrażenie, jak gdyby malarz stawał zawsze z temsamem uczuciem podziwu, czy spokoju wobec każdego zjawiska w naturze (coby było nieco dziwnem) i oddawał je zawsze przy pomocy tych samych środków. Nie od rzeczy zaś będzie przypomnieć w tem miejscu, jak gorąco zalecał Witkiewicz unikanie jednostronności w malarstwie, oraz tę czujność krytyczną nad samym sobą, bez której każdy talent szybko zdąża ku manierze. Dwa pejzaże Filipkiewicza mają pewien wdzięk i świeżość rzeczy malowanych z tą przyjemnością, jaką daje praca zadowalająca szczery podziw wobec natury. W małej salce, niewiadomo czemu przezwanej bronowicką, salce pleinairzystów najlepszym obrazem było studyum dwóch koni uwiązanych do wozu, malowane przez Sichulskiego. Studyum to mimo szczegółów bardzo prymitywnie pojętych i prymitywnie wykonanych było jednym z okazów bardziej zajmujących na wystawie. „Brało“ ono widza siłą dużego temperamentu, nerwu malarskiego i brawury, niedalekiej wprawdzie od lekceważenia i pobieżności w malowaniu, co jednak mogło wynikać z chęci uchwycenia wszystkiego na gorąco, chęci podobnej w objawach do gwałtownie zaspokajanego głodu. Dwa inne studya tegoż malarza, bezporównania słabsze, sąsiedztwem swem psuły dodatnie wrażenie, jakie się odnosiło z powyższego obrazu. Daleko korzystniej przydało by mu się było towarzystwo dwóch innych obrazów, bardziej przytłumionych w kolorze, ztonowanych, któreby nie odrywały wzajemnie oczu widza pstrokacizną. Z portretów, w których skupiły się najpoważniejsze wysiłki tegorocznego „Salonu“, naczelne miejsce należało się pracy St. Lentza. Obraz ten dawał dokładne wyobrażenie o malowanym człowieku, którego typ i charakter wyrażony był doskonale środkami malarskiemi, z całą swobodą i maestryą do-

świadczonego malarza. Z bardzo żywej głowy spoglądała na widza para dowcipnych oczu, osadzonych w dość obfitej twarzy, co w połączeniu z swobodnym układem całej figury i doskonale malowanemi rękami składało się na całość, której wspomnienie nie szybko zatrze się w pamięci zwiedzających wystawę. W kolorze portret ten był trochę zaniedbany, za monotonny. Typowym przykładem obrazów malowanych na zamówienie, przyczem malarz prawie zawsze zrezygnować musi z własnych zachcianek, których się z czasem pozbywa zupełnie, w miarę szybkiego tempa zamówień, są portrety Pochwalskiego. Ta staranność w modelowaniu i wykończaniu z równą precyzyą wszystkiego, przyzwyczaja oko do obserwowania z równem zajęciem twarzy i guzika lub jakiegokolwiek szczegółu, w obrazie robi w rezultacie wrażenie wykolorowanej fotografii; pozbawionej zupełnie charakteru indywidualnego i cech artystycznych. Były to bez zaprzeczenia rzeczy malowane z talentem, z zupełnem opanowaniem siebie i swych środków, porządne, bo to było pierwszym warunkiem ich powstania, brak jednak podporządkowania wszystkiego na korzyść głowy, świadomego usunięcia na dalszy plan tego, co malarza mogło z konieczności mniej zajmować, nie pozwalał oku widza skupić się wyłącznie na tem, co stanowi duszę obrazu. Duża zręczność, tania elegancya i szyk oto co się rzuca w oczy w portretach Augustynowicza. Nie wiele mówią one o portretowanych ludziach, więcej natomiast o autorze tych prac, który potrafi z równą przyjemnością malować oczy, nos lub usta co np. deseń na dywanie. Portret Żelechowskiego wykazał, że malarz ten na tem polu obraca się stosunkowo najswobodniej i najskuteczniej. Praca p. Muttermilch (portret poety Staffa) zwracała uwagę dość szerokiem opanowaniem materyału, subtelnością obserwacyi i pięknem zharmonizowaniem barw, jasnej plamie żywej, o dużej sile wyrazu, głowy, podporządkowaną była dobrze dalsza część torsu, z wyjątkiem gipsowego biustu, który umieszczony w tle w pobliżu głowy odrywał od niej uwagę. Był to może jedyny błąd w całości, świadczącej o wielkich zdolnościach malarskich W rzeźbie portret b. art. dr. Tarasiewicza (modelowany przez Szczepkowskiego) wyróżniał się przez pewną nowość, świeżość formy. Uwzględnić należy fakt, że każda głowa w naturze ma zupełnie odrębną formę, a zadaniem malarza czy rzeźbiarza jest wynaleźć na nią odpowiedni znak, co stanowi zadanie trudne. Trudność tę Szczepkowski we wspomnianym portrecie pokonał, stwarzając coś, co w szeregu nawet i dobrych dzieł zwróciłoby uwagę. Człowiek, który siedzi przed nami, przemawia do widza siłą spojrzenia, wyrazem ust i oczu, tym nerwem życia, jaki nadała całej jego postaci ręka rzeźbiarza. Szczegółem, który raził w tej rzeźbie, było ucięcie nóg poniżej kolan, co sprawiało niemiłe wrażenie jakoby amputowanych. Na tem trzeba skończyć, gdyż prócz bardzo nielicznych wyjątków, pozostała ilość dzieł, nie różniła się niczem co do wartości od przeciętnego materyału z „nieustającej wystawy“.

W. M.